PRZEMYSŁAW LIS-MARKIEWICZ

SPOWIEDŹ



DUCHA

PRZEMYSŁAW LIS-MARKIEWICZ

SPOWIEDŹ DUCHA

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2021

Przemysław Lis-Markiewicz
„Spowiedź Ducha”

Copyright © by **Przemysław Lis-Markiewicz**, 2021
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Jankowiak**
Korekta: **Przemysław Lis-Markiewicz**
Projekt okładki: **GroupMedia**
Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: **978-83-8119-846-2**

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

SŁOWO WSTĘPNE

To smutne, że głupcy są tak pewni siebie,
a ludzie mądrzy tak pełni wątpliwości.

Bertrand Russell

Powieść ta jest odpowiedzią na zalew głupoty, fałszu, nacjonalizmu i populizmu. Jest odporem dla poszukiwania stanowczych i łatwych ocen. Pokazuje, że niepoprawnie rozumiana jednoznaczność w osądach może być domeną ludzi głupich.

Główny bohater powieści – Maciej Żarnowski – żyje życiem pełnym sprzeczności i błądzenia, a jednakowoż udaje mu się i założyć rodzinę, i skończyć studia, i otworzyć kancelarię adwokacką. Zostaje nawet prezesem sądu apelacyjnego. Czy można wszelako ocenić go jednoznacznie? Niekoniecznie.

Choć urodzony w polskiej rodzinie, to po przyjeździe do Lwowa, jako czteroletni chłopiec, trafia do środowiska Ukraińców, przejmuje ich język, który długo uważa za swój ojczysty. Musi później na nowo nauczyć się polskiego, Polakiem zaś tworzy go Wyspiański, zajadły krytyk polskiego patriotyzmu ludowego. Swoje pierwsze doświadczenia erotyczne zdobywa z córką gosposi i synem

ogrodnika. Jego bratem przyrodnim jest wychowany na Ukraińca Mykoła, którego wyrzekł się ojciec.

W młodości nieraz upada i musi się podźwignąć. Zatraca się w pijaństwie, rozpuście, korzysta z usług prostytutek i sprzedających się chłopców. Pracoholizm, alkoholizm i seksoholizm wysysają z niego tyle energii i czasu, że nie zajmuje się ani synem, ani żoną. Od syna tylko wymaga: ma czytać powieści historyczne Kraszewskiego, deklamować Mickiewicza, Słowackiego, Szewczenkę i Frankę i doskonale opanować język polski i ukraiński.

Jeśli się podnosi, to dzięki przyjaciołom: Ukraińcowi Ilkowi, jego ojcu – duchowemu greckokatolickiemu i Żydowi Maurycemu.

Aż do 1918 roku nie chce we Lwowie żadnej Polski, obawia się waśni na tle narodowościowym. Zbrojne zajęcie Galicji przez Polaków w 1918 roku uważa za okupację Ukrainy i korzysta z pierwszej sposobności, aby stamtąd wyjechać na zawsze.

Po 1918 roku pomaga budować polskie sądownictwo na Pomorzu, jednak naciska na pozostawienie pruskich sędziów, nie chce zastąpić ich naturszczykami z Sieradza czy Łomży. Wspiera Kaszubów i Ślązaków. To ich uważa za prawdziwych polskich patriotów, nie zaś bosych Antków z Kongresówki.

Męczony wyrzutami sumienia za błędy młodości, stara się jak najwięcej czasu poświęcać synowi, wnukom i bratankom – Ukraińcom. I choć nie uważa się za autorytet w sprawach rodzinnych, to właśnie do niego najczęściej przychodzą

krewni szukać porad. Swoich wnuków uczy pieśni powstańców wielkopolskich, wierszy patriotycznych, a w wakacje we Lwowie uczy bratanków recytować wiersze Szewczenki.

Maciej Żarnowski uwielbia Piłsudskiego i po cichu sympatyzuje z ukraińskimi nacjonalistami. Gdy jego przyrodni brat Mykoła zostaje skazany za ukraińską działalność niepodległościową i trafia do więzienia we Wronkach, Maciej regularnie go odwiedza. Nienawidzi endeków i nacjonalistów, jednak nie cierpi też szwabów i moskali. We wrześniu 1939 roku od śmierci w Intelligenzaktion ratuje go brat Mykoła, którego Niemcy zwolnili z polskiego więzienia i przyjęli do Gestapo. To on daje mu lewe papiery i nakłania do ucieczki do Generalnego Gubernatorstwa. Gdy Maciej Żarnowski trafia do aresztu za pomoc Żydom, brat Mykoła wyciąga go z matni po raz drugi. W międzyczasie Maciej, z niemieckimi dokumentami, w asyście bratanka Ołeksandra, żołnierza batalionu Nachtigall, udaje się do Lwowa zapobiec śmierci przyjaciela – Żyda Maurycego – który jednak ginie w czasie likwidacji lwowskiego getta.

Maciej nienawidzi komunistów, ale obejmuje w 1945 roku ponownie posadę prezesa sądu apelacyjnego w Poznaniu, aby jak najdłużej, uważając się za zwolennika lewicy niepodległościowej, chronić Polskę przed sowietyzacją. Pomaga budować sądownictwo w Szczecinie.

Z coraz większym przygnębieniem ocenia panoszenie się komunistów.

Życie bardzo go doświadcza: wychowany bez matki, odrzucony przez ojca, traci przez całe swoje życie bliskich. Tragicznie ginie jego pierwsza prawdziwa miłość – Ukrainiec Demko, dość wcześnie umiera jego żona, z czasem odchodzą Paraska i Iwan, którzy go wychowali. Z rąk sowietów ginie jego siostrzeniec Zygmunt wraz ze swoim ojcem Maciejem, z którym główny bohater był w związku. Pijani czerwonoarmiści rozstrzeliwują matkę i brata jego przyjaciela – Petra, biorąc ich za Polaków. Ukraiński milicjant morduje Maurycego, w pierwszych bombardowaniach Poznania ginie wnuk Jasio, za przynależność do UPA esbecy rozstrzeliwują jego trzech bratanków, w Katyniu ginie dobry przyjaciel – teść syna – dr Karol Marcinkowski, hitlerowcy mordują brata żony i jego syna – powstańców wielkopolskich. To wszystko powoli załamuje Macieja, ale dożywa osiemdziesięciu lat. I dopiero przyniesiona przez mecenasa Stanisława Hejmowskiego na salę sądową zakrwawiona i przestrzelona kurtka Romka Strzałkowskiego – zabitego przez ubeków w czasie Poznańskiego Czerwca – wywołuje atak serca i śmierć. Bo wiele można było znieść, ale przecie nie mordowanie polskich dzieci przez Polaków.

Nic w osobie Macieja Żarnowskiego nie jest proste i jednoznaczne. Osiąga wysoki status społeczny, choć nie jest nieskazitelnego charakteru dla niektórych obrońców moralności. Wielu Polaków mogłoby się uczyć od niego patriotyzmu, choć uważał się za socjaldemokratę i za Lwów umierać nie chciał, mimo iż przeżył w nim prawie

czterdzieści lat. Gardzi endekami, odnajduje się w Wielkopolsce, z którą nic go wcześniej nie wiązało.

Bez wątpienia znalazłoby się wielu, którzy jednoznacznie, stanowczo, ochoczo i gromko by go potępili. Właśnie, to smutne, że głupcy są tak pewni siebie, a ludzie mądrzy tak pełni wątpliwości.

Przemysław Lis Markiewicz

Jest dziś 11 listopada 2018 roku. Cała Polska świętuje stulecie odzyskania niepodległości, każde miasto, miasteczko, wioska. Miły widok. Choć atmosfera nienajlepsza. I przypomina tę, która wpędziła mnie do grobu. Tak, właśnie. Bo ja umarłem w 1956 roku. Od tego czasu jestem duchem, siedzę na chmurce i spozieram na ten nieszczęsny kraj.

Zastanawia mnie, co ja takiego robiłem w 1918 roku, 11 listopada. Mieszkałem wtedy we Lwowie. Był to poniedziałek, pierwszy dzień roboczy. Pewnie miałem w sądzie jakie terminy. Polityki unikałem jak ognia, już czwarty rok trwała Wielka Wojna, żeby nie wpaść w obłęd, skupiałem się na pracy. Ponieważ owo napięcie trwało już tak długo, przestałem zwracać uwagę na wszelkie narodowościowe waśnie, nie ciekawiło mnie za bardzo, kto dziś komu zdarł jaką flagę z lwowskiego ratusza. Nam klienci za to nie płacili. Płacili za wyroki uniewinniające i uwzględniające powództwo. Mnie generalnie było w życiu dobrze. Nie zajmowało mnie, czy ktoś jest Ukraińcem, czy Żydem, i czy ja – Polakiem. Chciałem spokoju i pokoju. Te wszystkie nadęte manifestacje i wrzaski nacjonalistów-idiotów drażniły mnie ze wszech miar i zatruwały życie. Wszystko przez to gorzej działało. A do sądu dojechać trzeba było. Rajców miejskich Lwowa nie powinno w ogóle obchodzić, czy są polscy, czy ukraińscy, czy może austro-węgierscy, ale przedmiotem ich troski powinno być zaopatrzenie miasta w wodę, wywóz nieczystości,

przejezdne ulice i czyste place targowe, gdzie każda gospodyni powinna móc kupić kurę na rosół i chleb. W każdym społeczeństwie są wszakże ludzie durni, dla których miłość do flagi jest silniejsza niż miłość do sąsiada i muszą oni, z braku innego zajęcia, napuszczać okresowo jedno stado baranów na inne i w taki sposób wszczynać wojny.

Tak, jako Polaka z krwi i kości, przede wszystkim jednak z głębokiego przekonania, brzydził mnie ów podlasko-podkarpacko-świętokrzyski kościółkowo-sielski patriotyzm gminu. Ja może jestem mało przekonywujący. Ale przecie to Wyspiański (jednak nie mój równieśnik, nieco starszy) nazwał taki patriotyzm odpustowo-jarmarcznym, a przywdziewanie strojów ludowych, narodowych nazwał „przebierankami". Czyli ta tępa tłuszcza latająca z flagami i drąca mordę o Polsce dla Polaków to nie żadni patrioci. To raczej organizmy ludzkie opętane jakąś plemienną jednią. Dla których odzewem jest średnio kojarzony przez nich symbol, na przykład znak Polski Walczącej, bądź w ogóle orzeł, byle tylko biało-czerwony, bo inne zestawienie barw mogłoby już być źródłem pomieszania i, w następstwie, wybuchu tępej wściekłości dającej świadectwo nierozumienia niczego. Ci patrioci to podmioty bez wątpienia wyzute z umiejętności wysnucia jakichkolwiek wniosków. Wrzask „Polska dla Polaków" jest, rzecz jasna, przejawem jakiegoś niepojętego stadnego popędu baranów przekonanych o tym, że są ludźmi. Jak oni mogą w ogóle uważać się za Polaków? Polak to człowiek mówiący po

polsku, posługujący się polskim językiem literackim. Kto z tych zakutych łbów zdoła odpowiedzieć na pytanie, kim byli Krasicki, Krasiński i Kraszewski i czy to trzech różnych Polaków, czy może jeden?

I tak już od dawna ów podkarpacko-świętokrzyski atawizm pseudopatriotyczny ściera nam się w jednym kraju z rzeczywistym patriotyzmem prawdziwych Polaków: Poznaniaków, Ślązaków i Kaszubów. Podczas, gdy podlasko-świętokrzyski kmiotek w Imperium Rosyjskim miał głównie za zadanie nie stoczyć się w pijaństwo i nauczyć się kilkanaście liter oraz liczyć na palcach, to w Prusach i na Śląsku potężny i rzeczywisty wróg – państwo niemieckie – zmuszało Polaków dorównywać Niemcom w ich standardach cywilizacyjnych. Polak z Zachodu musiał umieć czytać i pisać i to w przynajmniej dwóch jezykach, musiał znać prawo, rozróżniać instytucje, jakie go otaczały, musiał harować od rana do wieczora, aby nie być nędzarzem w doskonale działającej pruskiej gospodarce. Ta … wschodniopolskie bezhołowie przeciw zachodniopolskiemu drylowi. Nadal nie rozumiecie? To pojedźcie w kujawsko-pomorskie i wielkopolskie. Porównajcie Bydgoszcz z Włocławkiem i Wrześnię ze Słupcą. Niby tak blisko, a jednak tak daleko. Gdy tylko przyjedziecie do Poznania, od razu zrozumiecie, co marszałek Piłsudski miał na myśli, gdy mówił „romantyzm celów, pozytywizm środków”. W Łomży pojmiecie, co chciał przekazać potomnym, gdy prawił, że „wam kury szczać prowadzić, a nie politykę robić”. W Sieradzu okaże się jenoznacznym, co Naczelnik

państwa chciał wypowiedzieć, gdy wymówił te słowa: „Polska to obwarzanek:

Kresy urodzajne, centrum – nic”.

Otóż sto lat temu, dnia 11 listopada 1918 roku miałem 43 lata, byłem uznanym lwowskim adwokatem, pracownikiem naukowym uniwersytetu, miałem kochającą żonę Zofię, dziewiętnastoletniego, całkiem mądrego syna Franciszka i byłem od trzech lat w szczęśliwym związku z Petrem, młodym inżynierem, Ukraińcem spod Tarnopola. Było mi naprawdę dobrze. Ale po kolei.

NOWY SĄCZ

1875

Nazywam się Maciej Żarnowski. Urodziłem się 30 czerwca 1875 rok u w Nowym Sączu, w rodzinie Małgorzaty i Józefa. Byłem ich pierwszym dzieckiem, choć ojciec miał już wtedy czterdzieści lat. Głowa domu był szanowanym obywatelem miasta, radcą (sędzią) sądu obwodowego.

1878

Trzy lata później, 2 października 1878 roku moja matka powiła córeczkę, moją siostrę Katarzynę i zmarła prawie zaraz po porodzie. Nie wiem, dlaczego. Ojciec był w ogóle nieprzygotowany na taki bieg zdarzeń. Gdyby nie moja ciotka Maria, jego siostra, najpewniej wszyscy, łącznie z ojcem, umarlibyśmy z głodu. Pomimo starań ciotki, otoczenie uświadamiało sobie prawie co dzień, że wdowiec

nie może sobie dać rady z dwójką dzieci i, jak się wszystkim zdawało, z żałobą po stracie żony.

LWÓW

1879

Pod koniec 1879 roku mojego ojca wezwał do siebie prezydent sądu i, przepełniony współczuciem, powiadomił go, że wie od władz sądu krajowego we Lwowie, że zwolniła się tam posada wiceprezydenta. I ojciec może się o nią ubiegać, a jeśli tylko wyrazi taki zamiar, to we Lwowie już wiedzą, że mają go przyjąć. Ojciec się zgodził. Pojechał do Lwowa, dopełnił formalności i nawet kupił od razu posiadłość po wiceprezydencie, który na stałe wyjeżdżał do Wiednia. Po dwóch tygodniach byliśmy już we Lwowie. Ojciec, ja, Kasia i ciotka Marysia. Willa, w zasadzie dworek we lwowskiej dzielnicy Kastelówka, jawił się zgoła okazale. Dom, w którym mieliśmy mieszkać, otoczony był wielkim ogrodem, w głębi którego stały czworaki, w których tylko dwa mieszkania były zajęte. W jednym mieszkała wdowa Paraska z córką Orysią, gospodyni poprzedniego mieszkańca i niania jego dzieci, w drugim – ogrodnik Iwan z synkiem Demkiem, wdowiec. Ja miałem cztery lata, Katarzyna – roczek, Orysia – pięć, Demko – sześć. Ciotka

Maria nie odnalazła się we Lwowie ani przez chwilę. Nie mogła się porozumieć z Paraską, nie pojmowała, co mówił do niej Iwan. Wróciła do Nowego Sącza prawie od razu. Więcej nie widziałem ani jej, ani Nowego Sącza. Matki nie pamiętałem. Ojciec rzucił się w wir pracy i nie widywaliśmy go z siostrą całymi dniami. Zdawało się, że często nie wracał i na noc. W ogóle się nami nie interesował. Matką była nam Paraska, ojcem – Iwan, naszym zaś rzeczywistym wychowaniem zajęło się starsze, przyszywane rodzeństwo – Orysia i Demko.

Paraska była wspaniałą zastępczą matką. Bardzo czujna, uważna, pilnowała, aby co złego nam się nie stało. To pod jej bacznym okiem Kasia nauczyła się chodzić i zaczęła mówić. Byliśmy dziećmi zawsze najedzonymi, wykąpanymi i porządnie ubranymi. Iwan pokazywał nam świat drzew, ptaków, roślin. Wszystko cierpliwie tłumaczył. Uczył najprostszych czynności. Paraska z Iwanem byli jak rodzice, prawdziwymi zaś autorytetami byli Orysia i Demko. Niczym starsze rodzeństwo to oni nauczyli nas, jak przeciągać czas zabawy w nieskończoność, udawać ból brzucha, gdy trzeba było coś zrobić lub udawać niewiniątko, gdy się coś przeskrobało. Nasze dzieciństwo było uosobieniem szczęśliwości. Ojciec, kiedy wracał z pracy a my jeszcze nie spaliśmy, lub w sobotę i niedzielę, przypominał nam swoim istnieniem, że w naszym życiu należy się liczyć z jeszcze jednym pewnym srogim panem, który zakłócał nam szczęśliwy byt w świecie czworaków w pięknym ogrodzie pana Żarnowskiego.

1881

Byłem nieszczęśliwym dzieckiem. Za takie się uważałem, będąc sześciolatkiem. Rodziców zastępowali mi Paraska i Iwan, ale przecież ojca miałem!

Jego brak zainteresowania moją osobą był jak jątrząca rana. Z początku myślałem, że nie spełniam jego oczekiwań, starałem się zgadywać, co on mógłby ode mnie chcieć. Na marne. Na pytania zawsze odpowiadał półsłówkami i zawsze mówił: idź się pobawić z Orysią i Demkiem. Odganiał się ode mnie jak od natrętnej muchy. Nigdy nigdzie nas nie zabrał, nie wziął mnie na kolana ani razu, nigdy nie przytulił, nawet nie pogłaskał po głowie. Nigdy za nic nie pochwalił. Albo beształ i lżył, albo milczał. Dla otoczenia uchodziłem za chłopca spokojnego i przedwcześnie dojrzałego. Raz sąsiadka powiedziała mi, że ze mną rozmawia się jak z dorosłym człowiekiem. Mieszkaliśmy na peryferiach Lwowa, niczym na wsi, chodziłem zatem na długie, wielogodzinne spacery. Pogrążony w swoich myślach, snułem się po okolicy, niekiedy nawet do późnego wieczora. Ojciec nigdy się nie spytał, dokąd ja chodzę i z kim przepędzam czas. Tylko Paraska, gdy wracałem czasem bardzo późno, niejednokrotnie głodny i zziębnięty, załamywała ręce

i powtarzała przez łzy: „Дитино, дитино, куди тебе носить? [1]”

Pamiętam swoje pierwsze doświadczenie zmysłowe. Miałem właśnie z sześć lat, gdy siedziałem na podłodze w kuchni, w której Paraska gotowała obiad. Przy stole zasiadła i Orysia, która w czymś jej pomagała. Wnet moją uwagę przyciągnęły nieznacznie rozchylone nogi Orysi, jej widoczne uda. Niczym zahipnotyzowany, zacząłem się niepostrzeżenie i powoli przesuwać pod stołem w stronę Orysi. Wpiłem wzrok w ciemność między jej udami, bardzo chciałem zobaczyć, czy ma tam to samo, czego już od dawna nie oglądałem. W pewnej chwili Orysia szerzej rozwarła uda a ja, bez wahania, wsadziłem tam rękę. Było tam ciepło i wilgotno. Orysia zerwała się w wrzaskiem z krzesła, ale wstydziła się powiedzieć matce, co się stało. „Zlękłam się czegoś” – wyszeptała. A ja uciekłem z kuchni.

Gdy miałem już owe lat sześć, ojciec postanowił nie posyłać mnie do szkoły powszechnej, a nająć dla mnie guwernantkę. Pani Basia, bo tak miała na imię, na początku zdawała się być przygnębioną tym, że sześcioletni chłopiec, urodzony rzekomo w Nowym Sączu, w inteligenckiej rodzinie, w zasadzie nie mówi po polsku. Kasia, lat trzy, dla której jedynym otoczeniem była Paraska, Orysia, Demko i Iwan, słów polskich prawie nie znała. Ojciec udawał, że nie pojmuje, jak to mogło się stać. Uparł się, aby w lekcjach pani Basi uczestniczyły również Demko i Orysia. Ich rodzice się zgodzili.

Nie lubiłem guwernantki. Ilekroć wywracała oczami, bo nie mogłem wymówić trudnych polskich dźwięków, miałem ochotę ją kopnąć. Nie umiałem tak wyraźnie, jak chciała pani Basia, wyrzec słów „przyjść, chcę, będę, szczecina”. Gdy usiłowała nakłonić mnie do ćwiczeń, powtarzałem uparcie „не буду, не хочу[2]”, bo tak zwykłem mówić Parasce, gdy wmuszała we mnie jedzenie a ja nie miałem apetytu. Pani Basia załamywała ręce i biegała wyrazić swe żale do ojca, o ile w ogóle był w domu. Ten tylko wzruszał ramionami i pogrążał się w lekturze gazety.

1885

Po czterech latach ciężkiej pracy guwernantki pani Basia doprowadziła do tego, że rozpoczęła się moja ośmioletnia nauka w C.K. Wyższym Gimnazyum im. Franciszka Józefa I we Lwowie.

Miałem wtedy dziesięć lat, Kasia – siedem, Demko – szesnaście a Orysia – piętnaście.

Na jednej z pierwszych lekcji (nie pamiętam, czy to była historia czy język polski) nauczyciel powiedział nam, że mamy zapytać rodziców o legendę o Lechu, Czechu i Rusie i omówimy ją na następnej lekcji. Gdy wróciłem do domu i chciałem zapytać ojca, okazało się, że go jeszcze nie było. Poszedłem do Paraski, ta nie wiedziała, co to za legenda. Odesłała mnie do Iwana. Ten, pyknąwszy kilkukrotnie z fajki, zamyślił się i powiedział, że owszem jest taka legenda. Lach, Czech i Rus rozbili obóz koło miasta Gniezno w Polsce i tam Lachowi spodobało się orle gniazdo i postanowił tam osiąść, Czech i Rus poszli zaś dalej. Czech do Czech, Rus do Rusi. „To Gniezno to gdzieś koło Lwowa, tak?” – zapytałem. „Nie, w Polsce, daleko stąd, tam, gdzie mieszkają Lachy” – odparł Iwan. „A my nie mieszkamy w Polsce?” – zdumiałem się. „Nie, synoczku, tu jest właśnie ta Ruś, a my, czyli ja, Demko, Paraska i Orysia to Rusiny” – ciągnął Iwan. „Czyli ja i Kasia – też!” – ucieszyłem się. „Nie,

synoczku – odparł Iwan – ty, Kasia i wasz tato jesteście Lachami i przyjechaliście do nas, do Rusi, z Polski, z Nowego Sącza". „To my jesteśmy inni niż wy?" – zaniepokoiłem się. „Trochę tak – wyjaśniał dalej Iwan – my mówimy po rusku i chodzimy do cerkwi, a wy mówicie po polsku i chodzicie do kościoła". Byłem zagubiony. Ojciec nigdy mnie nie zabrał do kościoła, rzeczywiście czymś zwykłym było dla mnie również, że w niedzielę Paraska z Iwanem i ich dzieci szli do cerkwi i nigdy mnie tam nie zabrali, a ja i nie prosiłem. Nie wiedziałem, że mówię po polsku. Widziałem tylko, że muszę rozmawiać inaczej z panią Basią, guwernantką, ojcem i nauczycielami w szkole i bardzo mnie to męczyło, uważałem ich język za mowę ludzi srogich, niedobrych i nudnych, w domu używałem języka Paraski, Iwana, Kasi, Orysi i Demka i ojciec nie zwracał na to uwagi. Zrozumiałem, że są dwa różne języki, postanowiłem jednak, że będę posługiwał się tym, który wygodniejszy.

Po rozmowie z Iwanem poszedłem do domu, ojciec już był. Spożywał późną kolację i czytał gazetę. „Tato, czy wiedziałeś, że jesteśmy Lachami i jesteśmy inni niż Paraska z Iwanem, którzy są Rusinami? – zapytałem. Ojciec spojrzał na mnie zdziwiony i odparł, że owszem, jesteśmy Lachami, ale poprawnie jest mówić „Polacy". I w rzeczy samej, Paraska z Iwanem są Rusinami. „A dlaczego nie mieszkamy w Polsce, skoro jesteśmy Polakami i dlaczego mieszkamy na Rusi? – drążyłem. „Tak się historycznie poukładało – zbył mnie ojciec – idź już spać".

Następnego dnia w szkole nie byłem skłonny opowiedzieć o swojej rozmowie z Iwanem i ojcem, jednakże większość uczniów twierdziła, że Polska jest we Lwowie, nie zaś w Gnieźnie. Pełny najszczerszych chęci poprawiłem nauczyciela, że legenda jest nie o Lechu, a o Lachu i przecież my wszyscy jesteśmy Lachami a tu jest Ruś, nie Polska. I tak mi powiedział Iwan, nasz ogrodnik, on jest bardzo mądry i pali fajkę. Zostałem zakrzyczany przez kolegów z klasy, nauczyciel odgrażał się, że wezwie ojca do szkoły i może nawet miał taki zamiar, wszelako po wizycie u dyrektora pojął, że Maciejunio jest synem wiceprezydenta sądu i może lepiej nie wszczynać z nim wojenek w sprawie przynależności narodowej Lwowa.

Od zawsze miałem świadomość różnic w budowie chłopców i dziewczynek. Długo przecież Paraska kąpała nas wszystkich razem. To ja prowadzałem Kasię w krzaczki, gdzie mogła się wysiusiać. Jednakże różnica w anatomii stała się dla mnie ze wszech miar oczywista, gdy trzyletnia Kasia, usiłując we wszystkim mnie naśladować, stanęła pod drzewem i próbowała wysikać się na stojąco. Naprężała się, wypinała, siki mimo wszystko popłynęły po nogach zamiast ładnym strumyczkiem, jak u starszego brata.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy Paraska zaczęła kąpać Orysię i Kasię osobno. Z naszych wspólnych kąpieli wykruszył się w pewnym momencie i Demko. Gdy zapraszałem go do wspólnego chlapania się wodą, coś tam burczał pod nosem i uciekał. W ogóle zaczął się mnie wstydzić. Przebierał się ukradkiem i już nie sikaliśmy razem,

a on zawsze chował się głębiej w chaszczach. Kiedyś podejrzałem go przez okno, gdy zmieniał bieliznę i zauważyłem, że ma małą czarną plamę nad siurkiem. Kiedy go o to zapytałem, zaczerwienił się i poradził, żebym zajął się swoim wackiem i go nie podglądał.

Zacząłem chodzić do gimnazjum. Było wiele nowych wrażeń, wielu nowych kolegów. Pierwsza klasa minęła niepostrzeżenie. Nadeszły wakacje i znowu więcej czasu zacząłem przepędzać z Demkiem i Orysią. Zaczęli wyglądać inaczej, niż wcześniej. Orysia miała już piersi. Była drobna i śniada, niczym Cyganka. Piersi jednak miała zawsze duże, nawet wtedy, gdy dopiero zaczęły jej rosnąć. Demko też był drobny i śniady niczym Cygan. Jemu z kolei wyrosły prawie wszędzie włosy: na rękach, na nogach, nawet na dłoniach, drobne kłaczki wyglądały spod rozchełstanej koszuli. Cały czas się mnie wstydził. Mój wzrok coraz częściej przykuwało wybrzuszenie w jego kroczu. Gdy chodził w luźnych portkach, widać było, że to, co się w nich majtało na wszystkie strony nie było tym samym zwisakiem, który pamiętałem ze wspólnych kąpieli. Bardzo chciałem zobaczyć jego wacka, ale kiedy o to zapytałem, roześmiał się głośno i powiedział, że jak mój urośnie, to wtedy porównamy.

1886

Bardzo podobała mi się Orysia. Miała pełne, malinowe usta, śliczne rumieńce, długie włosy i piersi, od których nie mogłem oderwać oczu. Poprosiłem, żeby pokazała mi swoją szparkę. Zachichotała i zapytała: „a co mi za to dasz”? Nie namyślając się długo, powiedziałem, że krajcara. Zgodziła się. Pomknąłem do domu i podebrałem ojcu monetę z pugilaresu. Dałem jej, ona zaś zadarła spódnicę i opuściła majtki. Jak zaczarowany wpatrywałem się w to miejsce, jasne, różowe, pokryte drobnym puszkiem. Odruchowo wysunąłem rękę, aby dotknąć. „O, nie, nie!” – krzyknęła Orysia. „Jeśli dasz mi jeszcze jednego krajcara, to pobawimy się w medyka. Będziesz mnie badał, chcesz?” Oczywiście zgodziłem się i uszczupliłem zasoby ojca na jeszcze jednego krajcara. Schowaliśmy się do szopki, Orysia położyła się na plecach, obnażyła się i rozstawiła nogi. „Badaj mnie, panie fizyk” – szepnęła. Dotknąłem. Była tam rozpalona i wilgotna. Rozchyliła sama szparkę i poprosiła, abym delikatnie wsunął tam palec i sprawdził, czy wszystko tam dobrze. Tak uczyniłem. Orysia zaczęła popiskiwać, niby to z bólu, cała drżała i dyszała głośno. A ja powolutku wsuwałem coraz głębiej palec. „A teraz obliż” – szepnęła. Oblizałem palec. Gęsta ciecz pachniała ładnie i smakowała jak woda z cukrem. Orysia nie patrzyła na mnie. Nie

zadając już więcej żadnych pytań i nie prosząc o zgodę, przypadłem ustami do jej rozpalonego sromu, zacząłem chciwie lizać, wsuwać język do szparki, delektować się jak najsłodszym owocem. Orysia jęczała. Na szczęście nie zabraniała mi kontynuować.

„Orysia!” – rozległo się nagle ze strony czworaków. To Paraska wołała córkę. „Ходи додому, швидко”[3]. Orysia zerwała się, spojrzała na mnie zamglonymi oczyma. „Jutro pobawimy się w misia, co zlizuje ze mnie miód, chcesz?” – zapytała szybko. „Za dwa krajcary”.

Chciałem. Nazajutrz znów zabrałem ojcu pieniądze i bawiliśmy się w misia. Zamknęliśmy drzwi od szopy, zaparliśmy je od środka i Orysia się rozebrała. Kilka kropel miodu upuściła na każdą z piersi, następnie utworzyła z lejącego się miodu ścieżynę aż do krocza i tam również ulała trochę płynu. „Liż!” – zażądała. Rzuciłem się na nią jak wygłodniałe zwierzę. Lizałem i miętosiłem jej wspaniałe, jędrne piersi, później, podążając miodową dróżką, zjeżdżałem językiem coraz niżej i niżej, aby w końcu zanurzyć usta i język w prawdziwy żar. Orysia odurzająco pachniała i smakowała miodem oraz swoją świeżą dziewczęcą urodą. W powietrzu unosił się upajający zapach lipowego kwiecia. Kiedy ciałem jej wstrząsnął dreszcz rozkoszy, spojrzała na mnie zmętniałym wzrokiem i nakazała przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Potaknąłem bez słowa i czekałem w napięciu, aby zaproponowała kolejną zabawę. I zaproponowała. Jej pomysłowość i wyobraźnia były bezkresne. Jednakże po

kilku dniach naszych beztroskich zabaw nadeszło straszne nieszczęście.

Paraska, sprzątając mieszkanie, znalazła odkładane pieczołowicie przez Orysię krajcary. Zaczęło się od krzyków: „Кому ти украла грошi?[4]” – wrzeszczała Paraska. Orysia milczała. Rozwścieczona matka zaczęła szarpać Orysię za włosy i huczeć coraz głośniej. Orysia pary z ust nie puściła. W końcu w ruch poszła trzepaczka do dywanów i tego bólu córka znieść już nie mogła. „Мацек мені дав”[5] – zawyła Orysia. Paraska schwyciła córkę za rękę i powlokła do dworku. „Пане Юзеф! – krzyczała jeszcze z alejki prowadzącej do willi – треба поговорити![6]”. Siedziałem w swoim pokoju i powoli zacząłem sobie uprzytamniać, że nasza tajemnica wyszła na jaw. Po chwili zostałem wezwany do gabinetu ojca, gdzie już siedziała w fotelu roztrzęsiona Paraska, obok niej stała pochlipująca Orysia. „Dałeś Orysi dwanaście krajcarów?” – zapytał spokojnie ojciec. „Tak” – szepnąłem. „A skąd je miałeś?” – prawie bezgłośnie ciągnął ojciec. „Z pugilaresu pana ojca” – odparłem. Oczy ojca nabiegły krwią, twarz stała się purpurowa. „Czyli ukradłeś” – starał się mówić spokojnie, ale było widać, że z trudem tamuje wściekłość. „Widzicie, Parasko, że tu jeden jeno winowajca. Nie Orysia. Możecie odejść, a ja się tu z nim rozmówię”. Paraska cicho wymknęła się z gabinetu, ciągnąć za rękę oniemiałą Orysię.

„To niepodobna, aby sędzia miał syna złodzieja” – lodowato wycedził ojciec. „Jak widać, nie umiałem cię wychować, trafisz zatem tam, gdzie inni uczynią to lepiej” –

rzekł i zawiesił głos. „Do końca wakacji nie wyjdziesz z domu a od nowego roku szkolnego będziesz pobierał naukę w Gimnazjum Katolickim Ojców Bazylianów w Buczaczu. Do domu będziesz przyjeżdżał na święta i wakacje. A teraz zejdź mi z oczów”. Zszedłem i do końca lata go nie ujrzałem.

Jak powiedział, tak i uczynił. Połowę lipca i cały sierpień siedziałem w domu. Ojciec nakazał, aby nikt do mnie nie przychodził, zezwolił tylko, aby Demko przynosił mi jedzenie dwa razy dziennie. Tęskniłem za Paraską i Orysią, wszelako Demko osładzał mi te ciężkie chwile aresztu domowego. Przynosił jedzenie, pocieszał mnie, wspierał na duchu, przytulał, przygarniał do piersi, głaskał po włosach. Gdy ojciec nie wracał na noc, zakradał się do mnie do pokoju i spał ze mną w łóżku. Opowiadał mi wszystko, co się działa na podwórzu ze szczegółami, aby choć trochę złagodzić poczucie osamotnienia. Gdy zostawał na noc, całował mnie w czoło i po oczach i kładł się do mnie tyłem, abym to ja wtulał go w siebie. Mimo, że był starszy, to jednak już wówczas dorównywałem mu wzrostem. A z czasem to ja przy nim zacząłem wyglądać jak mężczyzna.

Do Buczacza we wrześniu ojciec mnie nie zawiózł, a wyprawił mnie tam z Iwanem i Demkiem. Przekazali oni zakonnikom list polecający od ojca, pożegnali się i odjechali.

Szybko zrozumiałem, że ojciec najpewniej wykorzystał sposobność z krajcarami, aby się mnie pozbyć. Pojąłem również, że gdyby mógł mnie wtrącić do więzienia, to by to uczynił. Musiał jednak zadowolić się jedynie tym katolickim

gimnazjum, które niewiele wszakże różniło się od zakładu karnego dla dorosłych. Budzili nas codziennie o 5.30, kazali się modlić (czego ja nie umiałem), śniadanie było głodowe, w szkole trzymali nas po osiem godzin, bito nas za najdrobniejsze przewinienie, przetrzymywano w kozie, gdzie zimą było zimno jak na ulicy. Codziennie było dużo ćwiczeń fizycznych i mnóstwo fizycznej pracy. Sami sprzątaliśmy, przygotowywaliśmy posiłki, rąbaliśmy drwa na opał, czyściliśmy piece. Spaliśmy w salach dwunastoosobowych. Ja byłem jednym z najmłodszych. Reszta to byli umięśnieni młodzieńcy, którzy mówili basem i już się golili. Odnosiłem wrażenie, że gimnazjalistami byli wyłącznie chłopcy, których rodzice chcieli się pozbyć. Pochodzili z zamożnych rodzin i byli naprawdę zepsuci. Palili tytoń i pili przemycaną im do klasztoru okowitę. Bili się i przeklinali. Gdy akurat nic konkretnego nie robili, trzymali ręce w rozporkach i międlili swoje klejnoty. Nad młodszymi się znęcali. Musieliśmy wykonywać za nich najcięższą robotę. Nieraz płakałem do poduszki i często był to jedyny sposób, aby zasnąć. Od noszenia węgla, szorowania podłóg, przenoszenia za karę cegieł z kupki na kupkę, moje dłonie pokrywały się pęcherzami.

Ojciec nie wywiązał się ze swojej obietnicy. Ani na Boże Narodzenie, ani na Wielkanoc, nie pojechałem do Lwowa. Ojciec dwukrotnie przysyłam listy do szkoły, wykpiwał się chorobą i obiecywał, że w czerwcu przyśle kogoś po syna.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

